Nr. 31. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 3 sierpnia 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

Szkoły i wychowanie w Polsce.

Przegląd historyczny od najdawniejszych do najnowszych czasów

napisał

Alfred Szczepański.

(Ciąg dalszy.)

Akademja Zamojska powstała w r. 1593. Sołtykowicz mówi, że celem założenia téj akademji było zapobiegnięcie, żeby szkoły duchowne jezuickie na Rusi się nie szerzyły — bo za niemi szło religijne prześladowanie. Jeżeli był taki cel, to jednak losy akademji wcale inaczéj wypadły, i stała się ona takim grobem światła, jak krakowska i wileńska. Istniała lat 190 i po pierwszym podziale Polski zwinął ją rząd austrjacki.

Według przywileju miała ona być centralnym uniwersytetem na Rusi, z wyłącznem prawem do zakładania i nadzorowania szkół w okręgu dwunastomilowym. Kanclerzem ustanowiony biskup chełmski; profesorowie otrzymali szlachectwo. Według planu miała być urządzoną na wzór włoskich, o 4 wydziałach: teologiczny, filologiczny, prawny i lekarski. Miano uczyć: wymowy, poetyki, matematyki, fizyki, nieco medycyny, filozofji moralnéj, metafizyki, teologji scholastycznéj, historji kościelnéj i powszechnéj, prawa cywilnego, kanonicznego i polskiego. Profesorów bywało 14, lecz gdy dochody akademji tylko 13,000 złp. wynosiły, a pensją dla wielu katedr były beneficja kościelne, z tego więc powodu i z braku nauczycieli świeckich sam Zamojski powołał na profesorów wyłącznie księży z akademji krakowskiéj, co rozwój akademji zupełnie zwichnęło. Ci bowiem zaprowadzili w niéj taki sam tryb, jak w krakowskiéj. Dla tego téż akademja Zamojska nigdy nie rozkwitła, uczniów bywało najwyżéj do stu.

Założoną w r. 1595 szkołę bracką dysunicką w Kijowie zamieniono w r. 1632 w akademję dla tego wyznania. Urządzono ją na wzór jezuickich: co w tych dla katolicyzmu, chcieli tutaj czerńcy robić dla swojego wyznania. Wydziałów było dwa: teologiczny i filozoficzny; uczono języka starosławiańskiego (cerkiewnego). Było to więc raczéj seminarjum. W traktacie chodziackim warowano istnienie dwóch akademji dysunickich — do czego wcale nie przyszło — gdy zresztą Kijów, od r. 1653, jako należący do Rzeczypospolitéj liczyć się nie może.

Akademje żydowskie kwitnęły jeszcze na swój sposób na początku téj epoki w Lublinie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu. Jaki był ruch naukowy i wydawniczy pomiędzy Żydami, którzy otrzymywali wiele przywilejów na zakładanie swoich drukarni i księgarni, poznać można z téj okoliczności, że łacińskie i hebrajskie dzieła „uczonych żydowskich krakowskich, lubelskich, lwowskich sprowadzali skwapliwie Żydzi czescy, niemieccy, węgierscy, tureccy; drukowano niektóre w Wenecji i przekładano na obce języki.“ Podniosły się u nich na jakiś czas także i świetne umiejętności, zyskiwali rozgłos Żydzi matematycy i astronomowie, „na Ukrainie kwitnęła między Żydami sztuka lekarska“, co tém bardziéj było ważném, ile że akademje chrześcijańskie nie promowały doktorów medycyny. Sekta Karaitów miała uczonych i doktorów na Litwie i Wołyniu; przytaczają z pomiędzy Żydów i uprawiaczy prawoznaw-

stwa. Pewna jednak tylko szczupła warstwa Żydów trudniła się naukami; jednostki się odznaczają; tłum atoli cały pozostał ciemny i niepolski.

Pod koniec téj epoki upadły wszystkie akademje żydowskie.

Szkoły średnie.

Jakie były akademje, takie też i kolonje ich, czyli szkoły wyższe, kolegja.

Akademja krakowska miała ich dosyć znaczną liczbę, jak w Białéj, Brodach, Bochni, Choczu i t. d. Rozkład nauk w tych szkołach mógłby imponować nazwami, gdybyśmy nie wiedzieli, że jest to tylko pozór, w istocie zaś pochłaniała wszystko teologja skrzywiona — i we wszystkiém szła akademja ślepo za Jezuitami.

Najlepszą była kolonja poznańska; według tego samego planu z małemi odmianami, były urządzane wszystkie inne. Klas 5: 1) schola grammatices: gramatyka, arytmetyka, kaligrafja, pisanie listów — Cicero, Ovid, Tibullus; 2) schola rhetorices: instrukcje dla nabycia wymowy, prozodja, Cicero na pamięć, bajki Fedra; 3) schola mathematica: djalektyka, matematyka, astronomja, kalendarz gregorjański, instrumenta; 4) schola philosophica: dysputy (de ente, de substantia); 5) schola juridica: czytanie abrewiatur, instytucje rzymskie, filozofja moralna. — Wszystkiego tego uczono podług formułek scholastycznych, mechanicznie, pamięciowo, książki elementarne były potworne, wzorem ich gramatyka łacińska wierszem pisana Jezuity Alvaresa. Najwięcéj czasu zajmowały makaroniczne deklamacje, pisanie powinszowań i panegiryków dla dygnitarzy duchownych i świeckich, pozbawione wszelkiego sensu widowiska sceniczne z kosztowną alegoryczną pompą i wszelkie możliwe kościelne obrzędy i duchowe ćwiczenia. — Zmieniono potem plan i utworzono klas 3, oraz studia humaniora i lectiones publicae t. j. kursa teologiczne, filozoficzne i prawne — lecz ta formalna zmiana nic im wartości nie przyczyniła.

Nie lepsze były kolegja jezuickie, owszem tendencja uboczna jeszcze wyraźniéj w nich panuje.

W innych krajach Europy, gdzie reformacja zespoliwszy się z przemianami społecznemi i politycznemi istotnie katolicyzmowi stała się groźną i protestanci gorliwie koło wychowania młodzieży się krzątali, tam Jezuici chcąc pozyskać ludność, musieli się starać o lepsze utrzymywanie szkół, żeby młodzież więcéj od nich korzystała, jak w innych szkołach. Inaczéj było w Polsce. Reformacja poczęła się szerzyć — mieszczaństwo lgnące do Niemiec przyjmowało ją skwapliwie, lecz z upadaniem miast znikało możliwe ztąd niebezpieczeństwo dla panującego kościoła. Stan szlachecki przyjmował zaś reformację raczéj jako środek opozycji przeciw koronie i przeciw przywilejom duchowieństwa — aniżeli z przekonania. Nie przyszło też nigdy do ligi szlachty protestanckiéj z protestanckiém mieszczaństwem, bo względy stanowe były tu silniejsze, jak przemijające wyznaniowe. Polemiczna katolicka żarliwość Jezuitów w Polsce jest więc w znacznéj części z umysłu przesadną i niepotrzebną.

Jezuici, gdy kolegja swoje zakładać poczęli, żalą się, że zrazu miał naród wstręt do ich szkół i nie mieli uczniów. W krótkim jednak czasie rozsiedli się szeroko, zapanowali stanowczo nad umysłami i zagartywali przedewszystkiém wszelkie fundacje szkolne. Akademja nieruchoma procesowała się z nimi tylko o prawo do szkół, lecz ani zamarzyła o naukowéj emulacji; protestanci szkoły swoje ograniczali także przeważnie celami wyznania; Jezuici więc nie mieli właściwych rywali. Przewyższyli oni i akademje i protestantów w gorliwości wyznaniowéj, o co jedynie wszystkim szło i nie potrzebowali się rachować z postępem, bo Pijarzy znacznie później dopiéro nabierają znaczenia.

Charakter więc szkół jezuickich wynika z charakteru zakonu i z celów, dla jakich do Polski sprowadzeni zostali. Obrona katolicyzmu, szermierka z kacerzami, zabicie wszelkiego myślenia jako niebezpiecznego — oto cel ich szkół. Wpajanie ślepego posłuszeństwa kościołowi, zakuwanie umysłów w formułki, zakorzenianie zabobonów, schlebianie panującemu stanowi, jego wszechwładzy, a przez to pozyskiwanie i wyzyskiwanie go na rzecz zakonu — oto ich drogi. Toż w sporach o szkoły podnosili oni zarzut przeciw akademji krakowskiéj o nieszlacheckość, t. j. że nieszlachtę na profesorów w swoich wydziałach przyjmowała.

Kolegja jezuickie zostawały, tak jak wszystkie szkoły pod wyłącznym kierunkiem założycieli, t. j. zakonu: generała, prowincjała, rektora, prefekta, nauczycieli, na których umieli chwytać zdolnych lub bogatych uczniów i pakować ich do nowicjatu. Młodzież wychodziła z ich szkół ciemna i utwierdzona w narowach, oni jednak sami posiadali zrazu niemało uczonych i bystrych ludzi.

Rezydencje były to szkoły niższe, w których nie uczono teologji; kolegja zaś wyższe. Te były pięcioklasowe: infima, gramatica, syntaxis, poesis, retoryka. Ztąd było przejście albo na dwuletni kurs filozofji, albo na czteroletni teologji. W żadnych nie dawali początków nauk, które już uczniowie z sobą przynosić musieli. Uczono stopniowo łaciny, gramatyki: o tropach, figurach, chryjach; składni, metryki, czytano klasyków i pisarzy kościelnych, uczono mitologji, antiquitetów, geografji.

Od czasów Jana Kazimierza wyrzucono język i literaturę grecką, a uczono francuzkiego lub niemieckiego. Są to szumne nazwy, ale co innego w istocie. W czterech godzinach szkolnych wbijano na pamięć Alwara; główną rzeczą formułki, wyrób wierny epigramatów, mów podług reguł i o najbłachszych rzeczach, koncertacje djalektyczne n. p. dysputa verbum z substantivum, tworzenie bractw, odpusty, procesje, feretrony, djalogi, komedje na cześć zakonu i panów. Po za formą i prawowiernością wcale o wychowanie nie dbali; podsycali owszem wszystkie słabości szlacheckie i namiętności fanatyczne, zkąd grube wynikały ekscesa.

Jak dalece naród ogłupili, najlepszym dowodem jest już ten fakt, że szkoły ich były pełne, oraz, że żaden rząd, ani mąż stanu nie widział potrzeby zakładania innych, czego żadne wyraźne prawo nie zabraniało.

A lubo za prądem dworskim sprowadza już szlachta guwernerów Niemców, Francuzów, Włochów, z drugiéj jednak strony zaprzestanie naukowéj, dawniéj z reguły praktykowanéj frekwencji uniwersytetów zagranicznych, jest stanowczą oznaką stępienia w téj epoce.

Skutki epoki jezuickiéj dzisiaj jeszcze dają się Polsce we znaki. W obec faktów niezaprzeczalnych zgubna działalność zakonu tego w Polsce nie może być wcale kwestją sporną, chyba dla ludzi, którzy namiętności współczesne i zabiegi dzisiejsze przenoszą na pole historycznego sądu. Sądu o rzeczach tych nie należy przedewszystkiém przenosić na pole religijne, ale biorąc rzeczy przedmiotowo, sądzić po owocach. Przedmiot ten jest w dziejach wychowania w Polsce tak ważny, że jeszcze bliżéj i szczegółowiéj wyjaśnić go wypada. Mamy tu bowiem do czynienia z wykończonym teoretycznie i praktycznie prowadzonym systemem.

Zgubny wpływ i działanie zakonu Jezuitów w Polsce były koniecznem następstwem nietylko w ogóle tendencji i widoków zakonu — ale zarazem następstwem właściwych stosunków, które rozpoznać należy.

Z zakonem Jezuitów stało się w Polsce z wielu względów podobnie, jak z niemieckim zakonem krzyżackim. Zakon krzyżacki sprowadzony został i osadzony w zanadrzu Polski przez Piastowiczów, w celu nawróce-

nia najezdniczych, gdyż pogańskich jeszcze Prus i Litwy. Już nawracania dokonuje on jednak nie apostolstwem, nie misjami, ale ogniem i mieczem. Cóż dopiéro gdy Prusy i Litwa połączone z Polską, przez nią nawrócone zostały: zakon traci wówczas zupełnie rację istnienia i z zakonu staje się świecką, rozpasaną hordą, której idzie tylko o dzierżenie władzy i ziemi, która o nie prowadzi wojny z katolicką Polską.

Zakon Jezuitów stracił również w Polsce rację istnienia — lecz nie potrzebował tak jak Krzyżacy wynaturzyć się, owszem pozostał sobą, podczas gdy w około wszystko się zmieniło, według jego myśli. Zakon ten powstał i sprowadzony został do Polski w celu walki z protestantyzmem. Zrazu dla wyrównania przeciwnikom, mającym po swojéj stronie świeżą żarliwość i naukę, musiał on starać się o to, aby w łonie swoim posiadał zdolnych i uczonych szermierzy. Ogarniając zaś całe wychowanie musiał starać się o to, aby od społeczeństwa usuwać przyczyny i źródła reformacji, i raz na zawsze zatamować ich przystęp do umysłów. Z natury więc rzeczy musiał system jezuicki odsuwać wszelką rzetelną naukę i wiedzę, wszelkie „nowinki“ zagraniczne, wszelkie myślenie samodzielne, które może prowadzić do wątpienia i opozycji. Gdy zaś protestantyzm w Polsce zupełnie wygasł — Jezuici nie mając z kim walczyć, stracili rację bytu — lecz tak samo jak Krzyżacy wcale abdykować nie myśleli. Nie potrzebowali już tylko i w własném łonie posiadać ludzi zdolnych — a z drugiéj strony umysły młodzieży musieli tém bardziéj i nadal bronić przed wszelkiém światłem, któreby mogło pozbawić ich wyłącznego panowawia nad społeczeństwem. Że zaś umysł ludzki, a zwłaszcza umysł młodzieży musi być czémś zatrudniony, iżby nie miał czasu sam się za żywiołem dla siebie oglądnąć, pomyślano więc o tém skutecznie: stronę uczucia rozwijał ten system w kierunku fanatyzmu i nietolerancji — stronę myślenia w kierunku djalektyki i polemiki — stronę wyobraźni w kierunku formy, szumnéj i głośnéj, a czczéj i pustéj. Dla tém większego zaś zapewnienia sobie moralnego panowania, połączyli z tém działaniem system schlebiania wszelkim słabościom i właściwościom natury szlacheckiéj, jak ją dzieje wytworzyły: więc dumie i płaszczeniu się, swawoli i uniżoności, wszelkim przesądom o wyższości uprzywilejowanéj kasty, u któréj bezkarność wrodzonéj buty pomieszali z pojęciem ojczyzny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

A gdy Artur tak rozmyślał, a stary Antoni śmiał się, zacierał ręce i doczekać się nie mógł chwili gdy ten, którego nienawidził na równi z Moskalami, zawiśnie na szubienicy, na odwachu młody oficer, przejęty swą rolą obrońcy, starał się uspokoić mecenasa, znaleść materjał do obrony, poznać okoliczności... Niełatwa to była sprawa; Piotrowicz był ze strachu prawie nieprzytomny i to wypierał się wszystkiego, to protestować chciał przeciw niewłaściwości sądu, to drżał, to płakał i wzdychał. Nareszcie po długich wysileniach, ex-mecenas wskazał właściwy punkt łagodzący niby winę, a mianowicie, że Moskali zawiadomił tak późno, iż na czas przybyć nie mogli, że, co więcéj, zrobił to nie dla tego, żeby powstańców na rzeź wydać, ale żeby siebie zasłonić. Okoliczność ta wprawdzie nie mogła złagodzić kary, bo z zasady nie można było takiéj mody dozwalać, a co gorzéj, nie było na to dowodów; jednakże ze względu na tchórzostwo klienta był to choć jaki taki argument.

— E! wszystko na nic się nie zda... wyrzekł mecenas z najgłębszém zwątpieniem, gdy mu to oficer powiedział.

— Dla czego?...

— Wszak to był pan Karliński... on tu dowódzca?

— Tak, on. Ale cóż ztąd...

— A czy jabym mógł go z sądu wyłączyć?...

— Czemu nie, ale dla czego?...

— Mieliśmy ze sobą zajścia... on mnie nie puści żywego... i mecenas załamał ręce.

— Mylisz się pan... to właśnie uratować pana może... to jedno...

— Jakto?...

— Wroga swego Karliński nigdy nie skaże...

— A!... ba?... bąknął mecenas, nie mogąc téj myśli pojąć... ale spryt jego choć przygnębiony nieco, szepnął mu zaraz: „kto to wie?... Rozmaite głupcy na świecie bywają“ i rzeczywiście nabrał trochę otuchy.

Sąd odbył się w oznaczonéj porze. Za stołem improwizowanym zasiadł Artur, obok niego trzech oficerów, naprzeciwko obwiniony z obrońcą i oskarżyciel, we drzwiach stało dwóch żołnierzy.

W baraku stało kilku ciekawszych partyzantów, a przez przezroczyste ściany patrzyli i słuchali inni.

Piotrowicz znów stracił odwagę... Opierał się gdy go prowadzono, płakał, rzucał na kolana przed sędziami, przysięgał i t. d.

Oskarżenie było krótkie, a wywołało szmer zgrozy między słuchaczami, obrona była nieco dłuższa.

Między innemi obrońca zwrócił uwagę na usposobienie obwinionego, który takim jest tchórzem, że za czyny, jakie pod naciskiem tego szału wykonał, odpowiedzialnym być nie może...

— O tak!... tak!... prześwietny sądzie!.. tak!... ja szaleję ze strachu... ja teraz czuję, że mi się w mózgu przewraca — tak... tak... ja od dziecka byłem tchórzem... okropnym tchórzem... co się nad takim kaleką znęcać macie... wy... tacy waleczni... wy bohaterowie... wy rycerze...

Gdyby nie osłabienie byłby nieskończył chyba...

Postępowanie to w ludziach, którzy co dzień śmierci zaglądali w oczy, zamiast litości, tylko wzgardę budziło.

Gdy więc wyprowadzono go z baraku, partyzanci gwizdali, szydzili, śmieli się z tego starca, który ze swym strachem i podłością był naprawdę obrzydliwym. Antoni zaś docisnąwszy się do niego, szepnął:

— A listy będziesz kradł teraz?... co?... a pasierbicę sprzedawać?... co?... Wisieć będziesz za godzinę, bo na takich łajdaków prochu szkoda...

— Mój Boże!... mój Boże!... jęknął mecenas za-

słaniając sobie oczy, i byłby pół majątku oddał, żeby w téj chwili Moskale cały obóz wyrznęli.

O kilkanaście kroków, w baraku, rozstrzygał się los jego.

Artur streścił sprawę, ale z wyraźną stronnością na korzyść obwinionego. Dwaj jednak oficerowie powiedzieli: tak — jeden oświadczył się za lżejszą karą jak kara śmierci — gdy na Artura koléj przyszła, cichym głosem, bo czuł że działa wbrew głosowi sumienia i obowiązku, wyrzekł: nie winien...

— Kruk krukowi oka nie wykole — mruknął jeden z głosujących za karą śmierci, syn mieszczanina i nie lubiący szlachty. Głos prezesa przeważył. Spisano krótki wyrok i wezwano obwinionego. Wnieść go musiano... krzyczał w niebogłosy, potém zdawał się bezprzytomny, i gdy mu powiedziano że ma tysiąc rubli złożyć do kasy narodowéj, krzyknął wielkim głosem i zemdlał na prawdę.

W godzinę jednak już jechał do domu...

W obozie wyrok ten dość złe zrobił wrażenie...

— Ba... żeby to biedny człowiek zrobił!... to jużby dawno nogami wierzgał...

— Bodaj to być szlachcicem!...

— Abo on ślachcic?... To łyk a może i wychrzta...

— At!... pleciesz pleciugo!... Kto ma wieś to ślachcic...

— A chciał psia wiara nasych zgubić!...

— Naczelnik to dobry pon... ale miętkie ma serce... gdzieindziéj to tak wieszają, co aż miło...

Tak szemrano po obozie. Ale najwścieklejszym był Antoni. Dąsał się, klął, wąsy szarpał, palce wyłamywał sobie... przez jaki kwadrans marsem się na Artura patrzył i gdyby mógł, byłby go znienawidził... Ale ponieważ nie mógł, więc po kwadransie przyszedł, pocałował go w rękę i wzruszonym głosem rzekł:

— Z paniska, to anioł prawdziwy!...

Razem z wznoszącym się słońcem obóz napełniać się zaczął. Mężczyzn cywilnych było nie wielu, ale za to kobiét tłum. Bryczki szlachcianek z koczykami i paczkami, wiejskie kobiéty z węzełkami w ręku, ściągały się ze stron rozmaitych, by braciom, kochankom, wreszcie nieznajomym nawet przysmaczek jaki, bieliznę lub porządniejszą odzież przynieść... Mniéj jednak było śmiechu i wesołości jak zwykle, bo partyzanci wiedzieli już, że ruszą, ale myśleli, że właśnie w przeciwną stronę.

Żegnano się więc, szeptano do siebie po cichu, ściskano się za ręce... przysięgano sobie...

Słońce już spuszczać się ku zachodowi zaczęło, wozy były wypakowane, goście obozowi już się zaczęli rozchodzić, gdy żołnierz od przedniéj straży zasalutował przed Arturem, który wszystkiego sam osobiście doglądał i podał mu kartkę. Rzuciwszy na nią okiem Karliński, zawołał żywo:

— Ale puszczaj... puszczaj natychmiast... bez zawiązania oczu...

I sam za żołnierzem pospieszył na trakt główny. W parę chwil potem Artur ściskał serdecznie w objęciach Henryka.

— Jak się masz!... mój drogi... mój kochany!... jakże dobrze, że cię widzę!...

— I ja się cieszę — odpowiedział Henryk, i odsuwając się od niego, rzekł z rzadką jak u niego serdecznością: Wiesz, że doskonale ci w roli żołnierza... lepiéj daleko jak w skórze lamparta salonowego — i dodał jakby sam do siebie: Co to za materjał w tych szlachcicach!... Artur się uśmiechnął z tego wybryku przyjaciela, i wziąwszy go pod rękę zaprowadził w odludne trochę miejsce, posadził na miękkiéj murawie, kazał przynieść mleka i cygar, i dwaj młodzi ludzie, na których głowy cena była nałożoną, rozpoczęli ze sobą długą gawędę.

Rzecz naturalna, że treścią téj gawędy była sprawa ogólna.

Henryk, który mimo poszukiwań trzymał się ciągle w Warszawie i był jednym z najwyższych urzędników organizacji, wyjechał umyślnie teraz, żeby zmylić policję, a powtóre, żeby niektóre rzeczy uorganizować i zwiedzić siły zbrojne. I on nie łudził się ani co do interwencji, ani co do sił powstania, ale jednak bynajmniéj nie dzielił smutnych przewidywań Artura.

— Myśmy przepadli — mówił prawie wesoło — nasze pokolenie stracone, to kwestji nie ulega... kogo nie powieszą Moskale, tego właśni rodacy moralnie zatorturują... reakcja będzie straszna... ucisk okropny!... Ale to nic. . Jedno pokolenie wymordowane, kilka lub kilkanaście lat cierpień, to kropla w dziejach... Ostatecznie zwyciężyliśmy... pokazaliśmy, że ludu polskiego nikt do zbrodni nie pociągnie i wyrznęliśmy wrzód, który nas o ziemię powalił i przy ziemi trzymał... Nie ma dziś chłopów w Polsce i więcéj ich nie będzie... A oprócz tego, między nami i Moskwą przepaść krwią przepełniona... gdyby nie to, bylibyśmy się dali zaplątać w koło panslawizmu i bylibyśmy w niém zgruchotani na zawsze... Dziś panslawizm jest już fikcją na długo... na bardzo długo... i klęski dzisiejsze opłacą się narodowi kiedyś życiem samoistném...

Artur po części zgadzał się na to, ale go przerażało nieszczęście obecne... rzeki krwi i morze łez...

— Nie dziwię ci się — mówił Henryk. — Tyś dziecię tradycji i marzyciel... kochasz przeszłość, bo w przeszłości wszystko twoje... ale ja człowiek przyszłości... i człowiek praktyczny... Mnie nie żal najpyszniejszéj lilji, jeżeli na jéj miejscu ma wyrość mniéj piękne i poetyczne może, ale owocowe drzewo...

Rozmawiali ze sobą długo, i Artur spostrzegł, że słońce do zachodu się zbliża.

— Bóg widzi jak mi tu dobrze z tobą, mój drogi — rzekł — ale czas na mnie. O świcie bić się będziemy...

— Bić się będziecie? Wiesz, że to wybornie!... Pójdę z wami... Nie widziałem jeszcze, jak się ludzie mordują... to musi być ciekawe...

— A!... tém lepiéj. Noc jeszcze przegawędzimy... Zaraz ci każę broń dać.

— Mnie?... broń?.. a to na co?... Mam przecież arszenik, gdyby schwytać chcieli... a zabijać nie mam ochoty... ja przecież nie żołnierz, a amatorstwa takiego nie rozumiem...

— Dziwnyś ty mój Henryku — rzekł Artur, a po chwili dodał: Ha!... może masz i rację...

Szli obok siebie ku obozowi.

— Miałeś dziś śniadanie nieprzyjemne — przerwał milczenie Henryk.

— Dla czego?

— No, ta egzekucja... Choć to łotr, ale zawsze...

— Jaka egzekucja?

— No, tego szlachcica szpiega... jakże mu tam... no, wiesz?

Artur milczał.

— Aha! Piotrowicza...

— A, Piotrowicza... odrzekł jak echo Artur.

— Cóż? powiesić kazałeś?... ej, pewno rozstrzelać? wy tylko chłopów wieszacie...

— Ani jedno, ani drugie...

— Tylko?

— Puściłem...

— Co?... i Henryk stanął jak wryty patrząc się w twarz Artura, a czoło jego zmarszczyło się groźnie.

— Co? powtórzył.

— Mówię ci, żem go uwolnił — odrzekł Artur, ale w głosie jego była niejaka niepewność, a oko nie mogło wytrzymać wzroku przyjaciela i powieką się okryło.

— Uwolniłeś szpiega... który się głupotą tłomaczyć nie mógł... bo to lis stary... i dla czego?

— Bo był niewinien...

Henryk chwilę patrzał w twarz Artura, a potem biorąc rękę jego rzekł uroczyście:

— Słowo honoru, że w twojém sumieniu był niewinnym?...

Artur milczał.

— Aha!... szlachcica bałeś się powiesić — i głos Henryka syczał gniewem i ironją...

— Nie, ale był moim wrogiem śmiertelnym...

Henryk puścił rękę Artura i milczał chwilkę. Twarz jego zaczęła łagodnieć, w spojrzeniu błyskać jakby rzewności trochę, zdawało się, że rzuci się w objęcia przyjaciela. Ale był to ruch błyskawiczny myśli. Twarz znów przybrała wyraz surowy, i rzekł głosem poważnym i nieco spokojniejszym:

— Rozumiem... skrupuły honoru, obawa, żeby ci ludzie osobistéj zemsty nie zarzucali... Ale mój Arturze, co twoje skrupuły, co twoja opinja obchodzi Polskę i sprawę?... Stawiają przed tobą człowieka, który zdradził ojczyznę, zdradził ją z rozmysłem i rozwagą... potrzeba przykładu... Już i tak strasznie krzyczą, że wieszamy chłopów tylko, chłopów tak ciemnych często, że odpowiedzialnymi być nie mogą... Przyprowadzają ci szlachcica stokroć winniejszego, ty go puszczasz... bo on twój wróg... Ależ do miljon djabłów, oficer polski gdy sądzi zdrajcę, nie może mieć przyjaciół ani wrogów... Oh! wy rycerze średniowieczni!... wy dzieci trzaskające z biczyka honoru, gdy dach na głowy leci... Wasze ja zawsze, przedewszystkiém... Co lud o nas pomyśli, co pomyślą właśni twoi żołnierze? Czy ty wiesz, na coś zasłużył...

— Wiem — odrzekł Artur cicho prawie, czując całą słuszność wyrzutów, a przekonany jednak, że inaczéj postąpić nie mógł — masz władzę... więc jéj używaj...

Henryk milczał, a na twarzy jego znać było walkę wewnętrzną.

— Idziesz na Moskali zaraz?...

— Za pół godziny ruszamy...

— To dobrze, ruszajmy!...

Artur się zdziwił. Był on pewny, że Henryk pod sąd go odda, lub przynajmniéj zdegraduje. — Chciał mu nawet powiedzieć, że on, tak surowy dla niego, sam ulega uczuciom serca i tai winę przyjaciela — ale widząc surową twarz Henryka i chmurę na czole — zamilkł i szybko pospieszył do obozu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Położenie geograficzne jako ważny czynnik w polityce i w dziejach narodu.

Napisał

Dr. Kazimierz Szulc.

(Ciąg dalszy.)

5. Równiny wschodnio-północne są główną, pierwotną siedzibą Polaków i Sławian. Ich siedziby i posiadłości ciągnęły się od najdawniejszych czasów i ciągną po części dziś jeszcze od wybrzeży Elby daleko na wschód na północnych płaszczyznach podbiegunowych. Pomiędzy morzem Baltyckiém i Adrjatyckiém, Czarném i Północném, koncentrowały się główne ich siły. Dunaj był ich najgłówniejszą rzeką. Szerząc się coraz daléj na południe i wschód, zajęli oni prawie cały półwysep Bałkański i wszystkie północne a po części i środkowe równiny Azji. Społeczeństwo sławiańskie jest ze wszystkich europejskich najmłodsze, ciągle jeszcze rosnące, które nie dojrzawszy jeszcze, nie osiągnęło największych swoich rozmiarów. Organizmy najrozmaitszéj wielkości exystują i funkcjonują obok siebie stale, trwale i regularnie; w przyrodzie jest borówka obok dębu i owca obok wielbłąda, ale dąb i wielbłąd albo osięgną sobie właściwą wielkość, albo muszą zmarnieć, gdyby je chciano utrzymać w rozmiarach dla nich zbyt szczupłych. Na morzu są potrzebne wojenne statki rozmaitéj wielkości, a drobna załoga najmniejszego statku może często stać się użyteczniejszą od dziesięć razy większéj załogi statku największego; ale na nic ona się nie przyda, owszém musi ona zginąć, jeżeliby chciała puszczać się na wysokie morze i działać w szczupłéj swéj liczbie na największym statku wojennym.

Skoro ani ludność etruska, ani grecka, ani galska nie była w stanie zająć stale całych Włoch, to musiała ustąpić miejsca ludności Włoch średnich, ludności łacińskiéj, któraby także była musiała zmarnieć, gdyby nie była całéj Italji opanowała i zaludniła. Jestże to przypadkiem, że ludność angielska zajęła w krótkim czasie całe porzecze olbrzymiego Missisipi, a ludność portugalska całe porzecze ogromnéj Amazonki, że ludność romańska zajęła całą Amerykę południową a ludność germańska i Stany Zjednoczone starają się pozyskać całą Amerykę północną?

Ludzie i ludy są dziećmi natury i ściśle się do niéj muszą stosować, jeżeli chcą swoją exystencję sobie zapewnić.

Jak Włochy, Hiszpanja, Francja, Anglja, Skandynawja, Ameryka północna stanowią jedność i indywidualność geograficzną, podobnież i północne równiny podbiegunowe starego świata. Na nich nie ma i nie może być granic, jak ich niema i być nie może na oceanie.

Nie przypadkiem się to dzieje, że te nieprzejrzane obszary prawie zawsze były w posiadaniu jednego, nie kilku równocześnie narodów. Zajmowali je wszystkie z kolei, że inne narody pominę, Scytowie, Sarmaci, Goci, Hunnowie, Awarzy, od czasów Dżyngischana Mongołowie, za czasów Tamerlana Tatarzy, daléj Turcy i Moskwa; zajmowali je w znacznéj części i Polacy.

Ale dla czegoż żadne z państw na tych przestrzeniach założonych utrzymać się nie zdołało, dla czego ich więcéj, niż gdziekolwiek indziéj, tu upadło?

To pytanie zdaje mi się być jedną z owych sfinxowych zagadek, jakiéj jeżeli które społeczeństwo zamieszkujące te okolice nie rozwiąże, zginąć musi. Czyżby one dla tego upadać miały, że są zbyt wielkie? Ależ państwo chińskie nie mniejsze, a przecież lat tysiące się utrzymało!

Odgadniemy, pojmiemy przyczynę tego zjawiska, skoro się dostatecznie rozpatrzymy i zastanowimy nad geograficznėm położeniem i właściwościami płaszczyzn podbiegunowych.

Jak żaden organizm bez słońca, powietrza i wilgoci, albo bez organów je absorbujących żyć nie może, jak woda stojąca bez przypływu i odpływu się psuje, tak i społeczeństwo pozbawione ruchu i komunikacji na zewnątrz, nie może się rozwijać, ale musi powoli więdnąć, słabnąć, obumierać, dziczeć, marnieć i innemu uledz.

Ludność sławiańska Czech nie mogła utrzymać

swojéj samodzielności narodowéj, pomimo najwyższej cywilizacji, dzielności i rządności, ale musiała uledz wpływowi i zwierzchności Niemiec, skoro ujścia głównéj i jedynéj ich rzeki Elby, dostały się w stałe posiadanie Niemiec. Węgry musiały uledz zwierzchności niemieckiéj Austrji, skoro ta ich oddzieliła od otwartego morza Adrjatyckiego. Sławiańszczyzna południowa nie umiejąc zdobyć i utrzymać Bosforu i Dardanellów, musiała uledz zwierzchności narodu posiadającego takowe. I Polska bez ujścia Odry, Wisły, Niemna, Dźwiny i Baltyku utrzymać się nie była w stanie, ale musiała ulegać wpływowi narodu dzierżącego je. Polska była partą i zagrażaną z dwóch stron: ze strony Baltyku przez germanizm, chcący ją pozbawić wolnéj komunikacji na zewnątrz, niejako wody, światła i świeżego powietrza, i ze strony wschodniéj przez ludy barbarzyńskie, które jak powódź zalewająca całą nizinę podbiegunową, cisnęły się ku naturalnemu, jedynemu swemu ujściu, ku Baltykowi i Sundowi, Euxynowi i Bosforowi. Jak sklepowe rośliny cisnęły się one ku szczelinom, ku światłu i świeżemu, wolnemu powietrzu, a niszczały, skoro go dosięgnąć nie były w stanie.

Otóż przyczyna dla czego tak niezliczona ilość ludów, z głębi równin azjatycko-europejskich, cisnęła się ku zachodowi i nie dotarłszy do Baltyku, Euxynu i ujść ich, po największéj części bez śladu zginęła. Jedna Moskwa dotarła aż do wybrzeży tych mórz europejskich, w skutek czego utrzymała się, spotężniała, zajęła wszystkie równiny północne starego świata i prze naturalnym i koniecznym prądem rzeczy ku szczelinom, ku bramom, ku cieśninom i wybrzeżom morskim, za pomocą których swobodnie z całym światem komunikowaćby się mogła i zamykać w razie niebezpieczeństwa. Otóż jak dwie przeciwne sobie załogi i siły zbrojne nie mogą się ostać obok siebie w jednéj choćby największéj fortecy, ale ta się stanie panią placu, która opanuje bramy a druga stanie się jéj niewolnicą, jeżeli się wyłamać nie zdoła, tak też narody i społeczności równin podbiegunowych upaść i zmarnieć muszą, jeżeli pozwolą zająć i nie zdołają odzyskać wybrzeży i ujść morza Baltyckiego i Czarnego, stanowiących rzeczywiste bramy tych rozległych okolic.

6. Czuł to i pojmował bardzo dobrze Bolesław Chrobry i łączył z Polską Pomorze i Prusy, parł ku Elbie i morzu Północnemu, ku Dnieprowi, Dunajowi, Euxynowi i Adrjatykowi. Lecz nie widziały i nie pojmowały tego spółczesne mu ludy polskie i sławiańskie, stawiając opór nieprzełamany jego przedsięwzięciu połączenia ich w jedno i dla tego niektóre z nich, jak połabskie, pomorskie i pruskie, przypłaciły to swoją exystencją, swém życiem; inne jak czeskie, morawskie, południowo-sławiańskie kilkowiekową niewolą.

Od owych aż do naszych czasów nie znalazł się żaden polski ani sławiański mąż stanu, któryby pojął i podjął myśl i dążność Chrobrego; to też lubo społeczeństwo polskie i niektóre sławiańskie przybierały nieraz nader wielkie rozmiary i oznaki potęgi i świetności, to pozwoliwszy się raz zepchnąć z najważniejszych stanowisk, jakie przedstawiają ujścia Dźwiny, Niemna, Wisły, Odry, Elby, Dniepru, Dniestru, Dunaju, Euxynu, Adrjatyku i Baltyku, musiały zwolna więdnąć pozbawione żywotnych soków międzynarodowego handlu i komunikacji, a w chwilach stanowczych niezbędnych materjałów obrony, przymierzy i pomocy odleglejszych narodów i państw. Kiedy nasi nieprzyjaciele i sąsiedzi mieli zawsze w wojnach z nami wolny dowóz wszelkich potrzeb wojennych i sprzymierzeńców, to my byliśmy zawsze, jedynie z powodu naszego położenia geograficznego, z powodu odsunięcia od ujść naszych rzek i mórz otwartych, pozbawieni najniezbędniejszych środków wojennych i pomocy naszych przyjaciół. Myśmy zawsze walczyli ogołoceni z wszelkich potrzeb, sami jedni przeciw wszystkim naszym sąsiadom, więc musieliśmy ostatecznie uledz, choćbyśmy innych nie popełnili błędów.

Po kilkakroć nastręczała się jeszcze Polsce sposobność urzeczywistnienia zamiarów Chrobrego i dotarcia do brzegów Adrjatyku i niższéj Elby. Za Jagiełły, kiedy mu Hussyci ofiarowali koronę czeską wraz ze Szląskiem i Luzacją, za Władysława Jagiellończyka, którzy z polską i litewską mogli pozyskać i zabezpieczyć sobie czeską i węgierską koronę, jako też za Stefana Batorego i za Zygmunta Wazy, którzy z koroną polską mogli połączyć koronę moskiewską, a ten ostatni nawet szwedzką, mającą posiadłości nad całém pomorzem baltyckiém. Wszyscy ci monarchowie, ich mężowie stanu i współczesna im opinja publiczna społeczeństwa naszego poświęciła interesa narodowe dla interesów kościoła, a raczéj dla uległości papieżowi, i nie umiała skorzystać z wybornéj a rzadkiéj sposobności odzyskania ważnych i niezbędnych stanowisk i granic naturalnych, utworzenia unji ludów pokrewieństwem, położeniem geograficzném, siedzibami swojemi, względami bezpieczeństwa i pomyślności do zjednoczenia przeznaczonych.

Polski zadaniem było łączyć wszystkie narody równin podbiegunowych jako „równych z równymi, wolnych z wolnymi“, zostawiając im ich narodowości, wyznanie i autonomję. Tymczasem Polska albo niechcąc ich ze sobą łączyć dla innego wyznania, albo narzucając im swoje, przeniewierzyła się swojéj misji i dla tego upadła i rozszarpaną została przez te same narody, które od siebie odepchnęła. Zresztą do utworzenia i utrzymania unji wszystkich ludów równin podbiegunowych, rząd polski zbyt był słabym i zbyt krótkowidzącym.

7. W najnowszych dopiéro czasach pojawił się zmysł i pojęcie téj sytuacji. Rząd i naród rosyjski zawdzięcza, pomimo swych licznych wad i przewrotności, rozległe swoje posiadłości i swoje znaczenie w świecie, swoją wziętość w Sławiańszczyznie téj okoliczności, że spostrzegł i pojął ważność i konieczność zajęcia całéj płaszczyzny podbiegunowéj starego świata, połączenia wszystkich ludów sławiańskich w jednę rzeszę i dotarcia do ujść rzek sławiańskich, wybrzeży mórz otwartych i granic bezpiecznych i naturalnych. Nie można mieć naturalniejszych i bezpieczniejszych granic, jak niemi są na północ morze Lodowate a na wschód Ocean Spokojny, od którego tylko ujściem rzeki Amur wnijście w głąb kraju jest przystępne. Lecz i to jest zasłonięte i zabezpieczone wyspą Sagalin. Reszta wybrzeży morza Spokojnego jest najeżona i zabezpieczona długim i wysokim grzbietem gór, ciągnących się od morza Lodowatego aż do morza Żółtego. Na południe stara się Rosja przez zajęcie Persji i Turcji dotrzeć aż do morza Arabskiego, zatoki Perskiéj i morza Środziemnego. Górzyste wybrzeża tych mórz czynią wnętrze kraju od téj strony także całkiém nieprzystępném. W stronę zachodnią stara się Rosja zająć wszystkie kraje dziś i niegdyś sławiańskie, a więc całą Anstrję i połowę Prus, aż po Adrjatyk, Las Czeski czyli Szumawy i rzekę Elbę, gdzie Alpy i Szumawy, Inn i Elba nadzwyczaj obronną stanowią granicę, tak że olbrzymia przestrzeń pomiędzy oceanem Lodowatym i Indyjskim, oceanem Spokojnym i morzami Adrjatyckiém i Północném ledwie od zachodu dolinami Dunaju i Sali nieco przystępniejszą się okazuje, lecz i te doliny za pomocą fortec można uczynić niezdobytemi.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Das Verhältniss der Provinz Posen zum preussischen Staatsgebiete, von H (undt) v. H (aften) auf T (urowo). Drugie, powiększone wydanie, w Berlinie 1872*).

O niemiecka gruntowności, sprawiedliwości i bezstronności, któż cię nie zna! Wszak uczone syny potężnéj Germanji tak zachwalają te swoje przymioty, że w końcu przyszłoby nam chyba w nie uwierzyć, gdybyśmy zamiast bezpośrednio stykać się z potomkami Arminiusza, w pewnéj perspektywie oglądali ich czyny i dzieła. Niestety, chciała Opatrzność, ażeby ludy sławiańskie w długim wieków szeregu robiły z blizka studja nad „poczciwym, wolnym od zdobywczych zachcianek“ sąsiadem — począwszy od pobożnych krucjat wielkodusznego margrafa Gerona, od Psiego Pola i Grunwaldu aż do szczególną „gruntownością i bezstronnością“ zalecających się mów ks. Bismarcka, w których z wysokości trybuny stwierdził, że Niemcy, zwłaszcza piastujący wysokie w państwie dostojeństwa, przywykli, nie oglądając się na fakta udowodnione przez ich własnych historyków, wchodzić w pewne układy ze sumieniem i z tą nauczycielką życia, co się zwie historją...

Na dane przez mistrza hasło odezwała się jednozgodnie cała zgraja teutońskich pismaków, łącząc bezprzykładny ignorantyzm naszych stosunków z bezczelną kłamliwością dla dopięcia wytkniętego sobie z góry celu, t. j. dla zohydzenia w oczach świata narodu, którego przecież bohaterskość i szlachetność uwielbiali przed kilkudziesięciu laty słowem i pismem, prozą i wierszem ich właśni ojcowie.

Środki, jakich nie wahali się użyć ku temu, pozostaną dla nich na zawsze zakałą. Wiedząc dobrze, że gdy obok licznych fałszów obrzucą nas błotem cynicznych obelg, wypowiedzianych we formie, dającéj miarę ich wartości moralnéj i towarzyskiéj przyzwoitości — że wówczas odpowiemy im tylko milczeniem wzgardy — przekroczyli w swych wycieczkach wszelkie dozwolone granice i rzeczywiście w zakresie międzynarodowego grubiaństwa osiągnęli niepodzielnie palmę pierwszeństwa. Że w powyższéj charakterystyce pewnego gatunku prasy narodu, uważającego się za najucywilizowańszy pod słońcem, nie ma zgoła przesady, przekona się każdy, kto zajrzy do jednego z najpopularniejszych i u nas także na nieszczęście czytywanego pisma, p. n. I l l u s t r i r t e W e l t, gdzie (r. 1870 str. 162) znajdzie następny dziwną g r u n t o w n o ś c i ą i s p r a w i e d l i w o ś c i ą odznaczający się wyjątek: „Lud polski, mówię to o miljonach bydła w ludzkiéj postaci, wszystkich praw ludzkości pozbawiony, doprowadzony jest do pewnego stopnia zwierzęcości i bezczucia, do niewymownego lenistwa i największéj głupoty, tak iżby się w téj mierze przez wiek cały z pospólstwem Europy nie zrównał, chociażby się o to najbardziéj starano, do czego nie ma najmniejszych widoków. Dziewka niemiecka pracuje za trzech polskich chłopów (Kerle), 3 razy więcéj udźwignie i sądzę, żeby takich 3 nędznych gałganów (Wichte) wlokących się jak zagrzęzłe muchy, powaliła o ziemię. Kobiét zaś polskich z niemieckiemi porównywać nie podobna; brzydszych i nędzniejszych nawet z podróży Kooka nie poznałem.. “ Przyznasz łaskawy czytelniku, że można się szczerze uśmiać z naiwnego Teutona, przekonywającego swych ziomków o wyższości Niemców nad Polakami tak poważnym argumentem, jakim jest bezwątpienia energja owéj dziewki niemieckiéj, co to się ma borykać z polskimi chłopami...

Autor rzeczonego artykułu, twierdzący między innemi, że Niemcy zamieszkali u nas odzywają się do Polaków: „du polnischer Lump, du schmutziger polnischer Galgendieb“ i t. p. nie udawał przynajmniéj dokładnéj znajomości stosunków, ani życzliwości ku nam, nie pragnął uchodzić za naszego przyjaciela, którą to rolę przybierają niektórzy polakożercy per eminentiam, że tylko wymienimy autora broszury p. t. „Das Verhältniss der Provinz“ i t. d. niejakiego p. Hundt von Haften. Osobistości téj daliśmy już należytą odprawę przed dwoma laty, gdy wymieniona powyżéj broszura po raz pierwszy ujrzała światło dzienne — lecz pisząc w piśmie literackiém galicyjskiém a więc u nas w Księstwie mało czytywaném (Dzien. liter.) ograniczyliśmy się wówczas na scharakteryzowaniu stanowiska autora, na oznaczeniu b e z s t r o n n o ś c i i g r u n t o w n o ś c i jego sposobu pisania, jako téż znajomości obecnéj i dawnéj Polski, jéj historji i piśmiennictwa — pewni, że wielkopolskie pisma codzienne zechcą się podjąć wykazania reszty zawartych tamże fałszów. Oczekiwanie nasze nie ziściło się przy pierwszém ani przy drugiém wydaniu, jak w ogóle przy innych podobnych elaboratach niemieckich, których rozbiór spada na sam tylko T y g o d n i k W i e l k o p o l s k i — a niepodobno żądać, aby pismo tygodniowe, dotkliwie czujące szczupłość swych ram, mogło zawsze uczynić zadość temu zadaniu. W poczuciu obowiązku odpierania tego rodzaju napaści, odzywamy się więc do naszych pism politycznych, aby część ciężaru zechciały wziąć na swe barki i zamiast sprzeczać się o rzeczywiste czy urojone upiory, piętnowały kłamstwa i niedorzeczności rozsiewane przez pseudopublicystów niemieckich. Polityka milczenia, nie będąca zkąd inąd bez racji, jest tu wprost szkodliwą, bo rozzuchwala samych piszących, jest na rękę sferom rządowym, które choć same w owe oskarżenia nie wierzą, używają ich z przyjemnością za pozór do coraz srozszego ucisku naszéj narodowości, daje w końcu ludziom złéj woli, jak n. p. samemu p. Hundtowi, sposobność do powtarzania wypowiedzianych przez kogo innego a niezbitych fałszów — „ponieważ dotąd daremnie czekali na zaprzeczenie.“ (Przedmowa, str. IV).

Celem broszury, jak to sam autor przyznaje, było zwrócenie uwagi rządu na r e w o l u c y j n e ż y w i o ł y w Księstwie i zachęcenie go do energiczniejszych środków zaradczych, któreby zdaniem jego zapewnić mogły jedynie szczęście Polakom; to téż zaręcza nam, iż „nie nienawiść ani rozdrażnienie, lecz pojednanie zwaśnionych miał na oku w swém piśmie.“ Że zarzucanie rządowi słabości i pobudzanie go do germanizowania ryczałtem, na wielką skalę, odniosło pożądany skutek, bo było dlań dogodném, o tém świadczy prąd wiejący w Berlinie od dwóch już lat, jako téż nieco ciemne oświadczenie recenzenta w M a g a z i n f ü r d i e L i t e r a t u r d e s A u s l a n d e s (wierzącego p. Hundtowi na słowo i oddającego wielkie pochwały jego „patrjotyzmowi, przemawiającemu z każdego wiersza i wielkiéj znajomości rzeczy“), że „władze rządowe więcéj aniżeli publiczność pojęły znaczenie broszury j a k o c h a r a k t e r y s t y c z n y o b j a w c z a s u.

Zanim przystąpimy do właściwego rozbioru książki, uprzedzamy czytelnika, że oszczędzimy mu wykazywania niedorzeczności wielu apodyktycznym tonem wygłoszonych wyroków autora o historji i literaturze naszéj, jak n. p. następne twierdzenia (z których p. H. wysnuwa dalsze wnioski): że Rzeczpospolita polska czasy dawnéj świetności politycznéj zawdzięczała cywilizacyjnéj pracy Niemców — że literatura nasza wtedy dopiéro powstała, gdy kraj utracił niepodległość i t. p., — bo byłoby to toż samo, jak gdybyśmy ze ślepym rozprawiać chcieli o kolorach, dla przekonania zaś autora o jego zarozu-

*) Drugie wydanie niezmienione, opatrzone jest świeżo napisaną przedmową i końcowym rozdziałem o strategiczném i politycznem znaczeniu W. Ks. Poznańskiego.

miałym ignorantyzmie, trzebaby nam było opowiedzieć mu cały przebieg historji Polski, zapoznać go z całą literaturą naszą, która w XVI n. p. wieku o wiele przewyższała piśmiennictwo niemieckie. Byłaby to, powtarzamy, niewdzięczna i próżna praca! Nie myślimy również współubiegać się z p. Hundtem o lepsze w wynajdywaniu obranych z wszelkiéj przyzwoitości inwektywów i rozprawiać się z nim z powodu takich dowcipów jak n. p. powiedzenie, że cały naród polski jest niejako głową i żołądkiem bez rąk i nóg — że głowę zapełnia mrzonkami narodowemi i wódką, żołądek zaś niestrawnemi pokarmami, jak „wolowe mieso na rozanek pieczone“ i „kluski z tatacke“ — (na inném miejscu mówi przecież tenże sam p. H. zupełnie inaczéj: „jakiż to dumny, znakomity, do poświęceń zdolny, wielkoduszny naród, ci Polacy — jest w nim jeszcze świeżość żywotna“ i t. d.). Pozostawiamy téż bez komentarza następne słowa, nie tłomacząc ich nawet, aby nie splamić niemi pięknego naszego języka: wir wollen den Dreck des rechten Polackenthums mit dem französischen Firniss gar nicht bis im Detail kennen lernen...

Autor próbuje talentu na polu charakterystyki obyczajowéj; chodzi mu tu nierównie więcéj o effekt i o zręczność belletrysty, niźli o prawdę kronikarską, a ofiarami jego pseudo-dowcipu są polscy włościanie, mieszczanie i szlachta. P. H. maluje szerokiemi linjami, dosadnemi rysy; przedstawiając tedy jaką ujemną stronę, używa barw tak jaskrawych, że aż oczy olśniewają, n. p. w owéj scenie powrotu chłopów polskich z jarmarku i na rynku w miasteczku, gdzie, jak twierdzi, setkami walają się w rynsztokach. Ale autor zna prawidła powieściopisarstwa, święte dla każdego belletrysty, wie, że nie wolno samych tylko ciemnych figur rysować na tle obrazu, że obok cieni i światło być musi, a więc obok brudnych, rozpitych i ciemnych chłopów, obok czarnych charakterów, śmiertelnych wrogów wszystkiego co niemieckie: nieprzejednanych szlachciców i rewolucyjnych emigrantów, z czarnemi brodami i długiemi paznogciami, daje jakby w przeciwstawieniu do gadaniny owego współpracownika Illustr. Zeit. świetną charakterystykę uroczych Polek, którejby mu niejeden romansopisarz mógł pozazdrościć. A więc wiedzcie, nadobne czytelniczki, że piękność wasza więcéj zachwyca p. H., niźli widok romantycznego grodu na szczycie skał, albo Wenus Medycyjskiéj, że równie jak Heine, gdy po raz pierwszy ujrzał te nadwiślańskie Afrodyty, zapragnął mieć pędzel Rafaela, melodje Mozarta a język Calderona, gdyż najpiękniejsze Rafaelowskie Madonny bez tego uzupełnienia w obec Polek wydały mu się tylko mazaniną (Farbenklexe). Podziwiał w was wszystko, co tylko podziwiać można, począwszy od cudownych oczu i dołków na brodzie, aż do wzbudzających natchnienie (begeisternd) nóżek (sic), a styl jego na stronnicy, gdzie o was mówi, pełen jest słonecznych blasków, balsamicznych woni i aromatycznych zapachów. Autor przyznaje, że czuł zawsze dziwny pociąg do pełnych temperamentu Polek, lecz że niestety biedni Niemcy (wir armen Deutschen) dzięki patrjotyzmowi kobiét naszych, muszą ich się zrzec zupełnie. Rozgniewany widocznie tém niepowodzeniem, rzuca cień na was, szanowne panie, bo powiada, że patrjotyzm wasz, zaczerpnięty z chorobliwych, czułostkowych romansów francuzkich, za pośrednictwem słodkich ustek udziela się mężczyznom i zrywa wysokie tamy rozsądku tak, że już niezdolni stawić oporu tym gorącym płomieniom lawy, ulegają zupełnie „wzburzonym namiętnościom narodowéj fantazmagorji...“ Za dumę i pogardę, jaką okazujecie Niemcom, przypisał wam, nadobne czytelniczki, jeszcze inne cięższe grzechy, od których, jak powiada ku własnemu pocieszeniu, wolne są „dzielne“ Niemki, t. j. intrygi i awantury miłosne, próżnowanie i przyprowadzenie do ostatecznéj zniewieściałości mężczyzn, którym rozprzęgacie cały system nerwowy.

W przedmowie napisanéj w dwa lata późniéj, a więc prawdopodobnie po świeżém, smutném może doświadczeniu, po niefortunnych jakich konkurach, powiada z oburzeniem, że musiał się przypatrywać aż do obrzydliwości (!) posuniętéj kokieterji pań polskich dla francuzkich jeńców, w czém upatruje ostateczne zepsucie na wzór Francji. Ponieważ w tém miejscu wystąpił autor po za powieściopisarskie szranki, poczuwamy się do słówka odpowiedzi. Że kobiéty polskie zarówno jak mężczyźni, okazywały sympatję biedakom skazanym na niewolę zdala od ojczyzny, nic to jak sądzim dziwnego, — sympatja ta zresztą nie przekraczała nigdzie granic przyzwoitości, choć ją autor obrzydliwą kokieterję zowie. Nie można tego bynajmniéj powiedzieć o sztywnych i „dzielnych“ Niemkach, o których w kwestji „przygód i awantur miłosnych“ nietylko bardzo wiele powiedzieć mogą wychodźcy nasi z r. 1831 (czytaj o tém u Heinego i Gutzkowa) nietylko studenci Polacy na różnych niemieckich uniwersytetach, lecz które nawet w czasie ostatniéj wojny tak niedwuznaczne dawały dowody sympatji dla wrogów swoich mężów i braci, że, jak same niemieckie dzienniki donosiły, w wielu małżeństwach przyszło z tego powodu do bardzo smutnych wypadków, zakończonych rozwodami... Wzgląd na czytelniczki nasze nie dozwala nam być jaśniejszym — dla tego też odsyłając ciekawych do pism niemieckich z onego czasu, podajemy tylko nazwy niektórych miast, gdzie się głośniejsze odbywały awantury, a mianowicie Goerlitz, Meklenburg, Szczecin, Ingolstadt, Królewiec itd. Jestto tak delikatna materja, że nigdy nie byłoby nam przyszło na myśl jéj odświeżać, gdyby nie to, że nas pociągnięto za język; nie chcąc być przecież posądzeni o rzucanie słów na wiatr, gotowiśmy na żądanie autora podać mu szczegółowe zestawienie wypadków na podstawie najwiarogodniejszych źródeł... uczynilibyśmy to oczywiście tylko w osobnéj broszurce lub w piśmie nie zaszczycaném względami pań, przynajmniéj polskich...

Fryderyk W., jak zapewnia autor, miał razu pewnego powiedzieć, że „jeden Niemiec jest dlań milszy, niźli cały naród polski“; dziwno nam jednak, że sobie J. Kr. Mość wzięła na kark tylu Polaków, że raczéj, jeśli już nie było innéj rady, nie wolał ich odstąpić Austrji lub Rosji. Przekonacie się atoli wkrótce, że tak a nie inaczéj być musiało, że prawdą jest, co powiedział wielki filozof berliński: „Alles, was ist, ist vernünftig.“ A cóżby się stało z kulturą, gdybyśmy nie mieli szczęścia żyć pod opiekuńczemi skrzydłami państwa pruskiego? Są wprawdzie, którzy twierdzą, że Fryderyk wpuszczając do Polski fałszowane talary, nie miał kulturalnego posłannictwa na względzie, lecz któż może dociec, czy go nie miał? Prawdopodobném jest nawet, że to była pośrednia droga i że razem z fałszowaną monetą chciał król przemycić niefałszowaną kulturę. Tém mniéj to zresztą ulega wątpliwości, że wielki monarcha był w polityce jezuitą, i wierzył święcie, że cel uświęca środki, bo jakeśmy się dowiedzieli podczas narad w sejmie niemieckim nad jezuitami, Fryderyk wypowiadał zawsze jak najpochlebniejsze zdanie o tym zakonie, którego (powiemy to panu Hundowi w sekrecie) sam był tajnym członkiem, choć nosi harbajtel i trójgraniasty kapelusz...

Ale wróćmy do rzeczy. Utrata ojczyzny — zapewnia p. Hundt, to czczy frazes — rozbiór kraju naszego powinniśmy uważać za największe szczęście, bo wtedy dopiéro staliśmy się z niewolników ludźmi, dostaliśmy się pod panowanie przedstawicieli humanizmu, wykształcenia i moralności... Zapytuje nas autor, czy w ciągu ostatnich stuleci pokazaliśmy choć raz, że zdołamy sobą rządzić, że nie zasklepialiśmy się zawsze w przestarzałych formach, zamiast iść z duchem czasu. Gdyby

z p. H. można było mówić poważnie, wskazalibyśmy mu na konstytucję 3go maja, która w podziw wprawiła całą Europę. Polska wówczas pierwsza w całym świecie bez krwi rozlewu wprowadzała najzbawienniejsze reformy, dawała wolność włościanom, podczas gdy chłop niemiecki jęczał jeszcze w twardéj niewoli samowolnego rycerstwa, którego przodkowie ze szczytu swoich burgów piorunem spadali na bezbronnych kupców i włościan, aby im wydrzeć krwawo zapracowany dobytek... Możemy się pochlubić, że nasza księga dziejów nie ma kart tak czarnych...

Wydarliście nam resztę kraju wtedy, gdyśmy na podstawie zacną myślą utworzonego prawodawstwa wchodzili na drogę materjalnego i moralnego odrodzenia, gdyśmy dla nikogo nie byli groźnymi. Zostawieni sobie samym, naszéj własnéj rodziméj cywilizacji, bylibyśmy niezawodnie podążali sporym krokiem wraz z drugimi. Chełpicie się z dobrodziejstw cywilizacyjnych, jakieście nam wydarciem kraju rzekomo wyświadczyli — ale patrzcie, jak się mszczą pogwałcone prawa ludzkości — słuchajcie, jakie świadectwo dali wam w téj mierze wasi właśni rodacy na jubelfestowéj naradzie w Bydgoszczy, ludzie niezupełnie przywykli do pokrywania szumną frazeologją nędzy moralnéj, bo ludzie prości, od igły i szydła... Powiedzieli wam, że kłamstwem wierutném jest wszystka gadanina wasza o owéj wielkiéj pomyślności i oświacie, o owym niezwykłym dobrobycie, jakie sprowadził rząd pruski w Księstwie — powiedzieli wam, że w niższych warstwach ludności panuje większa nędza i ciemnota, niźli przed kilkudziesięciu laty, a książeczki, w których spisaliście owe zasługi germanizmu około ucywilizowania i uszczęśliwienia barbarzyńskiego kraju, darli, rzucali na ziemię i deptali nogami. W cóż się w obec tego faktu obrócą wszelkie wasze deklamacje, jakiemi się wielce lubujecie mimo nadawanego sobie samozwańczo miana „narodu myślicieli?“

Autor co chwila zarzucając rządowi zbytnią słabość i twierdząc, że tenże prawi o pokoju i zgodzie tam, gdzieby należało walczyć i zwyciężać, gdzieby strumieniem sił żywotnych zalać należało buntowniczy ród i w ten sposób ciemny lud obronić przed nieprzyjaciołmi (przed szlachtą i księżmi) w jego własnym obozie — powiada, że chciałby się dla Polaków okazać jak najbardziéj ludzkim, lecz pytał się napróżno, czyby nas jakiekolwiek ustępstwa zadowolniły, czyby nas jakiekolwiek czyny niemieckiego ducha skłoniły do szacunku dla Niemców? P. Hund bowiem od czasu ostatniéj zwłaszcza wojny widzi pomiędzy nami epidemiczną chorobę, a mianowicie słyszy okrzyk denerwujący, wiecznie politycznego odosobnienia się domagający i wzywający potężne Niemcy (zkąd wnosi, żeśmy obarczeni klątwą niepoprawności), aby i nam dozwoliły zostać wielkim narodem... Ale nie koniec to jeszcze petycji, podawanych przez nas na klęczkach, wedle autora, u stóp pruskiego tronu — dowiadujemy się od niego jeszcze ciekawszéj nowiny, a mianowicie, że Polacy zrzekłszy się myśli przywrócenia Polski w granicach z r. 1772, zadowolą się Kongresówką, że gotowi nawet w skromności swojéj, powoławszy na tron księcia pruskiego, w interesie utrzymania powszechnego pokoju, jako małe neutralne państewko wsunąć się pomiędzy mocarstwa wschodnie... Dziwna to rzecz zaprawdę, że p. Hundt lepiéj wie od nas, czego chcemy! Rozumowanie jego jest tak urojonéj a przytem tak niewinnéj natury, że mu je darujemy, a zapytamy tylko, czy jako na miejscu głęboko studjujący stosunki nasze, nie śmiał się sam w głębi duszy, gdy twierdził, że my nie dążymy do równouprawnienia, bo je mamy, tylko do rządzenia... Równouprawnienie! Słowo to jest w ustach p. H. jednym więcéj wyrokiem potępienia na samego siebie — bo albo nie zna wcale stosunków naszych, choć się tém chlubi, albo znając je, zadaje kłam swemu własnemu przekonaniu. Czyżby nie wiedział o macoszém traktowaniu nas ze strony rządu, o wyjątkowych, dla nas samych ustanowionych prawach — czyżby nie wiedział, że pomimo owéj okrzyczanéj równości w obliczu prawa, musimy przecież cierpieć komisarzy obwodowych, których w innych prowincjach wcale nie ma — że tylko u nas radzców ziemiańskich mianuje rząd, podczas gdy gdzieindziéj ludność ich wybiera — że nam zagrodzono drogę do wszelkiéj karjery urzędowéj, bo Polak, dla tego że Polak nie może się spodziewać wyższego awansu ani w sądownictwie, ani w administracji, ani w wojsku — że we wszelkich korespondencjach, wszelkich posłuchaniach urzędowych zniewoleni jesteśmy używać języka niemieckiego, nie mówiąc już o szkole, o czém poniżéj... Uznaje, że rząd krzywdzi prowincję, nie dając jéj ani uniwersytetu, ani szkoły handlowéj i t. p. — bo sądzi, że byłby to jeden z najdzielniejszych środków germanizacyjnych; natomiast żądania w sprawie języka uważa za niewczesne — a to niejako za karę, że przenosimy język francuzki nad niemiecki...

Tłomaczy nam daléj, że walcząc za sprawę straconą (bo nawet Grecy nie podnieśli się z upadku, lubo mieli świetną literaturę, my zaś nie mamy literatury prawie wcale, ergo...) podobni jesteśmy do graczy, których odwaga wzrasta z wysokością przegranéj — wyrzuca nam sympatję ku Francji, gdzie jak nam zaręcza, dość mieć imię polskie (słuchajcie!) aby być uważanym za zdrajcę i ogłoszonym za banitę... Przypomina udział rodaków naszych w komunie, nie pomnąc, że nie brakło tam i Niemców, a że wszyscy gwałtem, potrzebą czy przypadkiem do komuny wciągnięci Polacy, nie brali udziału w łupieztwach, i w ogóle dali dowody nieskazitelnego charakteru, odrzucając jak Dąbrowski znaczne sumy, ofiarowane sobie w zamian za zdradę.

Autor narzeka, że niewdzięczni, mimo tylu dobrodziejstw, mimo widocznéj przewagi rasy germańskiéj nad romańską i sławiańską, — zamiast łączyć się z Niemcami, zamiast korzystać z nabytków kultury i dla niéj wspólnie z nimi pracować, uchylamy się zupełnie od wszelkiéj styczności z wszystkiém co niemieckie, usuwamy się od udziału w wystawie i t. p. Jeśli nie zechcemy posłuchać rad wspaniałomyślnego opiekuna, jeśli zamiast z obfitych zdrojów germanizmu czerpać siły do dalszego istnienia, marzyć będziem o ocaleniu we wspólnéj ze sławiańszczyzną akcji, zginiemy niechybnie, a p. H. nad mogiłą naszą wylewać będzie łzy krokodyla, i choć z niezbyt czystych pobudek, pożałuje nas przecie, bo jest przekonany, że gdybyśmy się nawrócili, to moglibyśmy około kultury niemieckiéj niepomiernie się zasłużyć, broniąc jéj prac cywilizacyjnych od zalewu barbarzyńskich hord wschodu, a mianowicie Rosji. Przewidując niechybną walkę Prus z Rosją i w ogóle całéj Germanji ze Sławiańszczyzną, pociesza się on, że Prusacy mogą w danym razie liczyć na poparcie i czynną pomoc „wszystkich wykształconych ludzi w Europie“ — wmawia zresztą w siebie, że zanim przyjdzie do walki z orężem w dłoni, to tymczasem „pionerowie germanizmu“ rozsiadli pomiędzy Polakami a Rosjanami, zwyciężą na drodze pokojowéj jednych i drugich. Straszy Europę okropnemi następstwami, jakieby wyniknęły ze zwycięztwa rasy sławiańskiéj nad germańską, oburza się na barbarzyństwo Rosji w moskwiczeniu nadbałtyckich prowincji, nie widząc w skutek dziwnego jakiegoś zaślepienia, że sposobiki germanizacyjne, podawane przez niego samego a zastósowywane przez rząd, są nierównie bardziéj barbarzyńskiemi, a czytelnicy Tygodnika wiedzą, co sądzić o skargach i żalach der liefländischen Seufzer.

Widząc, że Rosjanie otwierają oczy i nie pozwolą się już nadal Niemcom prowadzić na pasku, skarży się na ich niewdzięczność — powiada, że Rosja bez niemieckiéj pomocy dawnoby się już była w gruzy rozsy-

pała — przypomina „tym nędznikom, którym chciwość i polityka zawróciła głowy“, że się zwracają przeciwko tym, co państwu rosyjskiemu największe oddali usługi, co w pełnéj poświęcenia miłości najwyższe dłań zawsze okazywali przywiązanie — zapomina jednak, że za te poświęcenia, czy je pełnili w charakterze czynowników czy szpiegów, byli zawsze płatni i sami się jeszcze grubo obławiali, wysysając krew sławiańską nakształt pijawek — że ich usługi wyświadczane caratowi, ograniczały się wyłącznie na utrzymywaniu ludu w ciemnocie i niewoli...

Tomy całe przyszłoby nam spisać, gdybyśmy chcieli odpowiadać na wszystkie fałsze zawarte w broszurze p. H., bo dla sprostowania kłamstwa wypowiedzianego przezeń w trzech wierszach, potrzebaby chyba trzech stronnic miejsca. Ograniczymy się przeto na wykazaniu, że wszystko to, co mówi (powtarzając po większéj części za Breslauerką, choć rzekomo sam na miejscu studjuje) o polonizowaniu kościoła i szkoły naszéj, nie zawiera za grosz prawdy.

Zabawném jest posłuchać jak okropnego ucisku doznają biedni Niemcy w Księstwie. Dziwna rzecz, że mimo prześladowania, przypominającego co najmniéj czasy niewoli babilońskiéj, tak tłumnie jednak spieszą w nasze strony, tak gorączkowo cisną się ku wschodowi (Drang nach Osten). Gdybym ja był Niemcem, a widział taki stan rzeczy, tobym nie odetchnął swobodniéj, dopókibym nie napisał broszury p. n. „Deutsche Seufzer aus der Provinz Posen.“ Bo czyż kto widział, pytam, taką o zemstę do nieba krzyczącą niesprawiedliwość, jaką jest podany przez p. H. fakt, że za pomocą szkoły „spolonizowano zupełnie całe wsie, które przez długie wieki były niemieckiemi.“ Jest to zbyt śmiały żarcik! Powtarzały go już tutejsze niemieckie dzienniki. Prosimy o dowód — o przytoczenie choćby tylko jednéj z pomiędzy tych wielu wsi, bo wymienione już niektóre z nich, n. p. Rataje, były, jak się wykazało, od wieków polskiemi. Z osad holenderskich nie spolonizowała się ani jedna, choć przez tyle set lat polskim chlebem się karmiły — natomiast za pomocą szkoły zniemczono częściowo lub zupełnie miasta: Wieleń, Wolsztyn, Chodzież, Śmigiel, Osieczną, słowem cały zachodni pas Księstwa.

Skarży się autor na wyłącznie polski kierunek szkół katolickich w Poznaniu i na upośledzenie, jakiego z téj przyczyny doznają dzieci katolicko-niemieckie. Uprzedzamy nasamprzód, że dzieci te stanowią zaledwie dwudziestą część ogólnéj liczby katolickich dzieci. Daléj powiemy p. H., o czém by się mógł był przekonać na miejscu, że każde kilkoletnie dziecko, świeżo przysłane do szkoły, po pół roku pobytu w niéj musi się już uczyć po niemiecku, a mniéj więcéj od 12 roku musi słuchać wykładu czysto niemieckiego i na zapytanie w tym języku odpowiadać. Zapytujemy, czy taka tortura duchowa, taki barbarzyński system, wymyślony chyba dla przywiedzenia nas do ostatecznego upadku, nie są zdolne do wykierowania mniéj utalentowanych dzieci na idjotów?

Upośledzają nas pod tym względem na każdym kroku. Szkoły ewangelicko-niemieckie, aczkolwiek popierane przez rząd, przez Adolph- i Bibel-Vereiny, otrzymują przecież nierównie większe sumy z czysto katolicko-polskich funduszów sekularyzacyjnych. Jak bowiem wiadomo, procent składany od pieniędzy zebranych ze sprzedaży pozbytych za bezcen dóbr poklasztornych i postarościńskich (o czém świadczy broszura p. n. „Denkschrift über die Reorganisation u. Theilung der Provinz Posen“) wynosi 50,000 tal., a większą część téj sumy przeznacza rząd na propagandę ewangelicko-niemiecką.

Pragniemy się uczyć sami, poświęcamy na ten cel grosz wdowi, ale mimo okrzyczanéj wolności pruskiéj i troskliwości o oświatę zabrania nam tego naród kulturtregerów — udziela konsensu na szkoły prywatne tylko na rok „mit Vorbehaltung der Wiederrufung“ lub téż odmawia zupełnie, jak n. p. w Ostrowie, gdzie szlachetne usiłowania księcia Edmunda Radziwiłła, który zebrał fundusze, zakupił dom i sprowadził Wizytki, w obec zaciekłości niemieckiéj spełzły na niczém. Toż nie dziw, że skutkiem tego mamy w Poznaniu tylko 5 szkół polskich prywatnych (pensje: pani Estkowskiéj, p. Poplińskiéj, p. Hoffman, szkoła Ludwiki i Urszulanki), podczas gdy ich Niemcy mają szesnaście! Jakiemże czołem śmiecie w obec tych faktów mówić o polonizowaniu szkół — wy, co nawet nauczycieli naszych chcecie przywieść do moralnéj śmierci, odmawiając im praw przysługujących wszystkim innym ludziom, zabraniając im jak helotom brać udziału w pracach tak nawet niewinnych stowarzyszeń, jak towarzystwa śpiewu, pedagogiczne, religijne i rolnicze, — wy, co podstępnemi obietnicami równoległych klas polskich ułudziliście obywateli powiatu wągrowieckiego do złożenia znacznych funduszów na budowę gimnazjum, a po zagarnięciu ich oświadczyliście cynicznie, że nie myślicie dotrzymywać słowa, że za polskie pieniądze pragniecie dokonać dzieła zgermanizowania polskich dzieci...

Nie od dzisiaj zresztą datuje się wasz system germanizowania nas przez szkołę, opłacaną groszem naszym. Akta regencyjne dostarczają dowodów, jak stanowczo i energicznie opieraliśmy się zawsze temu prądowi. Wszakżeż dość często otrzymywały gminy czysto-polskie nauczyciela Niemca — na skargi zanoszone do władzy, udzielano mu 6 miesięcy czasu do wyuczenia się polskiego języka, a że to było niepodobieństwem, więc rzecz pozostawała beim Alten — i biedne dzieci za pieniądze rodziców niczego się w szkole nie nauczyły...

Równie silne polonizacyjne zapędy, jak szkole, przypisuje autor duchowieństwu a szczególnie ks. arcybiskopowi Ledóchowskiemu. Niepodobna w jednm ustępie zebrać więcéj kłamst i fałszów, ile ich mieści stronnica, traktująca o tym przedmiocie. Pan H. twierdzi wraz z Breslauerką, że ks. arcybiskup nie przyjmuje Niemców z zasady do seminarjum duchownego. Tymczasem jest to faktem urzędowo stwierdzonym, że nie było roku, w którymby pomiędzy klerykami nie znachodzili się Niemcy, a nam osobiście jest wiadomém, iż władza duchowna z powodów nie przemawiających do naszego przekonania, szczególnemi wyjątkowemi względami ich otacza. Obecnie jest w Poznaniu kleryków Niemców dziewięciu, ogółem wszystkich 70, a więc Niemcy stanowią ósmą część, ponieważ zaś wedle obliczeń samego p. Hunda (nader dorywczych) Niemcy katolicy są ósmą częścią katolików Księstwa, więc stosunek byłby zupełnie odpowiedni. Pomimo to władza duchowna gotową jest przyjmować tylu Niemców do seminarjum, ilu ich się tylko zgłosi i nigdy nie oddala żadnego, jeśli choć tylko elementarne wiadomości w języku polskim posiadał (Polak zaś każdy już dla otrzymania świadectwa dojrzałości w gimnazjum, musiał umieć dobrze po niemiecku), pomimo to wreście liczba niemieckich księży jest stosunkowo tak przeważającą, że wielu z pomiędzy nich trzeba było pomieścić w zupełnie polskich parafjach.

Pan H. wzdycha za czasami zmarłego arcybiskupa, gdy w seminarjum poznańskiém wszystkie przedmioty, jak mówi, wykładano po niemiecku i powiada z oburzeniem, że dziś językiem wykładowym jest wyłącznie polski. Rzecz się, niestety, ma zupełnie przeciwnie! Za czasów ks. arcybiskupa Przyłuskiego wykładano niemal wyłącznie po polsku — dziś wykład jest przeważnie łaciński, stosunek zaś języka polskiego do niemieckiego

w pozostałych lekcjach taki, że polskich godzin jest tylko pięć tygodniowo, niemieckich zaś ośm...

Na zarzut, że wielu niemieckich księży musiało się spolonizować, „ponieważ w ten jedynie sposób zdołali się uchronić od jezuickich zaczepek“ — odpowiedział najlepiéj publiczném oddaniem sprawiedliwości Polakom ks. radzca Haupstock, obecnie proboszcz na Szląsku, o którym także rozgłaszano, że cierpiał straszne prześladowanie ze strony poznańskich księży.

Co wreszcie trzymać należy o innych zarzutach, zrozumie każdy, gdy mu w samym powiecie wschowskim, gdzie wedle Breslauerki i p. H. nie ma ani jednego księdza Niemca, wyliczymy następne imiona: ks. Berger, Veith, Kempfer, Schubert, Kluck, Marker, Knoblich, Schindler, Arendt, Wiesner, Meissner, Tentzke, Strauchmann...

Pan H. v. H. zapowiadając nowe zupełnie opracowane wydanie, skoro tylko stosunki poznańskie „na miejscu głębiéj i dokładniéj przestudjuje“ (czego mu szczerze życzymy), zapytuje, czy może liczyć w Wielk. Ks. Poznańskiém na nieuprzedzone ocenienie, i wypowiada mniemanie, że obojętność Niemców z jednéj a narodowe przecenianie Polaków z drugiéj strony, wielce to zadanie utrudnią. Nie wiemy oczywiście, czy słowa nasze przypadną mu do smaku — sam przecież przyzna, żeśmy się nie bawili w czułostkową frazeologję, lecz że acz dla braku miejsca pisaliśmy jak najzwięźléj — wszędzie jednak, gdzie czynił rzeczywiste zarzuty, stawialiśmy mu téż faktyczne argumenta, a tam tylko gdzie bujał w atmosferze ogólników i efektownych frazesów, używaliśmy odpowiedniejszéj broni.

K. K.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

✝

W tych dniach umarli:

Rufin Piotrowski,

autor Pamiętników z pobytu na Syberji, — i

Adam Pajgert,

poeta.

* * *

— Leży przed nami zbroszurowany zeszyt **Promyka**, czasopisma dla dzieci, wychodzącego we Lwowie staraniem F. H. Richtera a pod redakcją Władysława Bełzy. Zeszyt ten, obejmujący dziewięć arkuszy druku, zamyka kwartał drugi Promyka. Jak widzimy z treści, najznakomitsi autorowie spotykają się w rzędzie współpracowników tego pisma. I tak: J. I. Kraszewski pomieścił tu zajmującą powiastkę p. t. „Boże dary“ — Wołody Skiba powieść p. t. „Pudełeczko“ — pani Paulina z L. Wilkońska drukuje tu ciekawe swe listy do młodych przyjaciół. Józef Chmielewski, K. Górski, Al. Haidecki dzielnie zasilają „Promyk“ swemi pracami pedagogicznemi i historycznemi. Piękny i wyraźny druk, staranne ryciny zalecają to pisemko uznaniu i poparciu publiczności.

* * *

— W Berlinie wyszła w języku niemieckim autobiografja hrabiego **Leopolda Siedlnickiego de Choltitz**, księcia-biskupa wrocławskiego, zmarłego przed kilkoma miesiącami, który, jak twierdzą Niemcy, nie dla tego odstąpił wiary ojców swoich i przeszedł do protestantów, by nieprzyjaźnie wystąpić przeciw Kościołowi katolickiemu, lecz dla uchronienia się przed anatemem i exkomuniką. — Hr. Siedlnicki czyli raczéj Sedlnitzky, sądził pomiędzy innemi, że sprzymierzony z panslawizmem jezuityzm odwracał od niemczyzny Szląsk Górny i Austrjacki.

* * *

— Panowie Gebethner i Wolf w Warszawie zamierzają odbić drugie wydanie „**Historji cywilizacji w Anglji**“ Buckla.

* * *

— Dowiadujemy się z Berlina, że rodak nasz pan **Karol Forster** przygotowuje do druku, jako trzeci numer swéj Teki narodowéj, dzieło p. t. „Do dziejów narodowego powstania w Polsce w r. 1830—31“, z użyciem papierów przekazanych mu przez generała Krukowieckiego, przedostatniego prezesa Rządu Narodowego. Dokumenta te, które syn generała, z woli tegoż, po jego śmierci doręczył p. Forsterowi, dotąd nigdzie nie ogłoszone, zawierają ważne objaśnienia dotyczące téj epoki. P. Forster zamierza być już gotów z manuskryptem około pierwszych dni sierpnia r. b.

* * *

— Czasopismo niemieckie „Das Ausland“ zamieszcza w Nr. 24 rozprawę o **Borysławiu** i o **nafcie galicyjskiéj.**

* * *

— Piszą z Warszawy do czasopisma niemieckiego „Magazin für die Literatur des Auslandes“ (Nr. 28) — przypominając, że co do **Kopernika** Niemcy dwukrotnie się dali wyprzedzić przez Polaków — pomiędzy innemi co następuje: „W sporze dotyczącym narodowości Kopernika, uwzględnicie niezawodnie zdanie waszego współziomka, Melanchtona. W liście bowiem tego znakomitego w dziejach waszych męża, znajdującym się w bibljotece Wolfenbüttel'skiéj a odszukanym przez Dra Kazimierza Krasickiego, mówi Melanchton o Koperniku: ...„**ut ille astrologus sarmaticus qui terram movet et solem figit.**“ — Świadectwo współczesnego, jak Melanchton męża, aczkolwiek nie rozstrzygające, wielkiéj być może doniosłości.

* * *

— Księgarnia J. G. Cotta w Stuttgardzie przedsięwzięła wydawnictwo wszystkich dzieł Grillparzer'a, zmarłego niedawno temu poety niemieckiego. W pierwszym tomie, zawierającym poetyczne utwory Grillparzer'a, spotkaliśmy się z wierszem p. t. „**Warschau**“, spisanym po upadku naszéj stolicy w r. 1831, z którego przytaczamy tu w pobieżnym przekładzie następujące ustępy:

O Francjo, Francjo! jak mogłaś zapoznać
Miejsce, które ci przeznaczył Bóg?
Dumnaś z nazwy oblubienicy Wolności,
Z którą przecież nie wydajesz dzieci pożytecznych dla świata?

Spojrzyj! — o wiele mędrszymi są ci, którzy
ciebie nienawidzą,
Dzieło ich zdaje im się połowiczném i chwilowém,
Dopóki choć jedna plama pozostanie na świecie,
Dopóki choć jeden pan nad jednym panować
będzie niewolnikiem.

Szczycisz się z Twego pogromcy tyranów,
Którego siła obca nie opuściła po dziś dzień,
Na błoniach Polski zabijają Francji synów,
W zawiasach Warszawy skrzypią bramy Paryża.

....

Następnie zwraca się poeta do Anglików, których przezywa Brutusami, uzbrojonymi w łokieć i w tytki z pieprzem:

Gdyby Warszawa stała nad wybrzeżem morza,
Gdyby cynamon rosł tam, gdzie dzisiaj się
zielenią pola,
Uczulibyście silniejsze węzły pokrewieństwa,
A Polska stanęłaby wolną — narodem — państwem.

* * *

Muzeum narodowe polskie w Rapperswyl.

Tylko co wyszedł z druku **Katalog** téj wielce interesującéj instytucji. Składa się z dwóch części, jedna poświęcona bibljotece, kartom jeograficznym i manuskryptom, druga starożytnościom i przedmiotom artystycznym. W pierwszéj znajdują się bardzo cenne materjały do upowszechnienia wiadomości historycznych i etnograficznych o Polsce. Dokumenta się liczą na tysiące, rzucają nowe światło na różne epoki dziejów Polski, a mianowicie na jéj stosunki z Moskwą, Szwecją i Turcją. Numizmatyczne zbiory odznaczają się rzadkiemi monetami i medalami; archeologiczne obejmują celtyckie i sławiańskie starożytności, znalezione w wykopaliskach Wielkopolski. Karty jeograficzne i etnograficzne uzupełniają materjały dziejowe. Sala rycin posiada znakomite roboty Falcka, portrety sławnych mężów Polski; pomiędzy pamiątkami tego rodzaju znajdują się liczne po Kościuszce.

Bogaty katalog, liczący 180 stronnic, świadczy o wielkiéj gorliwości, z jaką to wielkie przedsięwzięcie wykonaném zostało w tak krótkim przeciągu czasu, i o ogólném współczuciu dla tego zakładu, nietylko Polaków i ich przyjaciół, ale nawet rządów i towarzystw uczonych w różnych krajach.

Katalog ogłoszony w języku polskim, francuzkim i niemieckim, ozdobiony jest herbem narodowym.

* * *

— Policja niemiecka w Chełmnie, w Prusach Zachodnich, zabrała numer 28 „**Przyjaciela Ludu.**“

* * *

— Pamiętniki **Bogumiła Dawisona**, o których istnieniu donosiliśmy swego czasu, mają się wkrótce ukazać w odcinku Gazety Warszawskiéj.

* * *

— Pan J. K. Żupański w Poznaniu ogłasza prospekt do wyjść mającego dzieła, którego tytuł: „Panteon wiedzy ludzkiéj“ lub pantologja, encyklopedja wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i rozległy system filozofji — przez **Bronisława Trentowskiego**.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.